

Pamięci spalonej cerkwi w Komańczy

Pod koniec 2005 r. w czasopiśmie „Nieznany Świat” (miesięcznik, w którym jest mowa o różnych niezwykłych, nieznanych i niezbadanych dotąd zjawiskach) zaczęły ukazywać się ogłoszenia dotyczące fundacji „Świadomość Ziemi”. Celem jej działalności jest m.in.: nauka telepatycznego kontaktu z Mistzami Wniebowstąpionymi np. z Jezusem, Maryją, Archaniołami, Hierarchiami Niebiańskimi itd.; popularyzacja wiedzy przekazywanej w wyniku tych telepatycznych kontaktów; wspólne działania, prace energetyczne i medytacje na rzecz ratowania Ziemi oraz całej ludzkości.

Nawiązałem kontakt z tymi ludźmi i od kwietnia 2006 r. zaczęli przysyłać mi swoje biuletyny. Co kilka miesięcy spotykają się na wspólnych zjazdach w Warszawie, a od jakiegoś czasu organizują comiesięczne medytacje miłości. Każdy może w nich wziąć udział.

W biuletynie z listopada 2006 r. zamieszczono relację z przebiegu IV zjazdu. Kiedy zacząłem ją czytać, oniemiałem z wrażenia, jest bowiem w niej mowa o spalonej cerkwi w Komańczy. O tym wydarzeniu opowiadała p. Maria Przybyłowicz z Krasna.

We wcześniejszych numerach był podany do niej telefon, więc od razu zadzwoniłem. Przedstawiając się, powiedziałem, że dzwonię z okolic Łodzi, ale tak naprawdę to ja jestem z Komańczy. Wtedy bardzo się uśmiechnęła i umówiliśmy się na wspólną rozmowę wieczorem, w której opowie mi swoją historię związaną z cerkwią.

Maria wychowywana była w wyznaniu rzymskokatolickim, ale od zawsze coś ciągnęło ją do cerkwi. Od czasu do czasu odwiedzała wraz z mężem jakąś cerkiew, bywała na nabożeństwach w cerkwi w Olchowcu. Jednocześnie można powiedzieć, że jest poszukiwaczem duchowym. Swoją dom udostępnia podobnym sobie ludziom i co tydzień spotykają się razem oddając się wspólnym medytacjom, modlitwom i rozmowom.

Na jednym ze spotkań podczas medytacji pewnej uczestniczce w wizji ukazała się drewniana cerkiewka na pagórku spowita seledynowym i złotym światłem jako miejsce mocy. Do cerkwi zmierzało mnóstwo ludzi po uzdrowienie. Szli w ciemnościach, należało mieć światło w sobie, aby do niej trafić. Niestety, nie wiadomo było, gdzie ta cerkiew się znajduje.

Na drugi dzień Marii przyszła na myśl Komańcza i wspólnie z mężem postanowili zobaczyć obydwie cerkwie, grekokatolicką i prawosławną. Wybrali się tam kolejnego dnia, a było to niedziela 10 września 2006 r.

Najpierw wstąpili do cerkwi grekokatolickiej uczestnicząc we Mszy św. Tak się złożyło, że ja również wtedy tam byłem wraz z żoną, dziećmi i moją mamą, którą akurat przyjechaliliśmy odwiedzić, ale wówczas jeszcze nie znaleźliśmy się wzajemnie z Marią.

Po zakończeniu Mszy św. Maria i jej mąż pojechali do starej drewnianej cerkwi. Kiedy ją ujrzeli Marii od razu przyszedł na myśl obraz cerkwi otrzymany w czasie medytacji, stała bowiem na pagórku.

Odbывало się tam jeszcze nabożeństwo.

Gdy tylko przekroczyła jej próg, Marię nagle ogarnęły tak bardzo silne uczucia i emocje, że nie potrafiła zupełnie nad nimi zapanować. Cała się trzęsła, a z oczu ciekły łzy. Ilekroć ksiądz podnosił rękę w geście błogosławieństwa, jej ciało jeszcze bardziej stawało się słabe.

Pomyślała: coż to za ksiądz? jaką on ma w sobie moc? W swoim wnetrzu natychmiast odebrała odpowiedź: nie patrz na człowieka, lecz na Tego, kto za nim stoi. Odnosiło się to, oczywiście do Jezusa.

Kiedy Msza św. dobiegła już końca, Maria podeszła do księdza i zapytała, nie wiedząc nawet jak się do niego poprawnie zwracać: czy może pobłogosławić katoliczkę?

Wówczas on z lekkim wyrzutem stwierdził, że mimo, iż jest katoliczką, to wzięła udział razem z wiernymi w całowaniu trzymanej przez niego ikony. Aczkolwiek na jej pytanie odpowiedział twierdząco: tak, może.

W momencie, gdy udzielał błogosławieństwa, ku jego zdumieniu, jakaś siła sprawiła, że Maria upadła na podłogę. To wszystko było bardzo dziwne.

Od księdza nabyli jeszcze wiązkę świeczek wotywnych. Są to cienkie woskowe świece zapalane w cerkwi w określonej intencji. Będąc u siebie Maria zapalała je i osoby, które ją odwiedzały, o większym wyczuleniu na energię, były zaskoczone widząc i odczuwając potężną energię, jaka spływała z góry w pomieszczeniu, gdzie paliła się świeczka.

Gdy wrócili do domu, Maria skontaktowała się z osobami zajmującymi się duchowym rozwojem, z którymi spotyka się cyklicznie. Planowała, że tym razem większą grupą przyjadą do Komańczy w następną niedzielę. Tymczasem w środę wieczorem 13 września cerkiew spłonęła. Ten fakt jeszcze bardziej oszołomił Marię.

Poprosiła więc swoją znajomą, która potrafi widzieć trzecim okiem, aby spróbowała zobaczyć, jaki jest związek pomiędzy nią a tą cerkwią, i co to wszystko znaczy.

Znajoma ujrzała młodego zakonnika z ogoloną głową w ciemnym habicie. Zakonnik ów przybył z daleka przynosząc do cerkwi święte relikwie, które miały ją uświęcić. Gdy zmarł, pochowano go pod cerkwią. Tym zakonnikiem była Maria, tzn. wcześniejsze przejawienie jej duszy (inkarnacja) na ziemi. To właśnie może tłumaczyć te nieokreślone i wymykające się spod kontroli emocje, które odczuwała przebywając w cerkwi. Miejsce pochówku zakonnika było tym miejscem, w którym Maria upadła po błogosławieństwie kapłana. W widzeniu znajoma ujrzała w tym miejscu złotą płytę oraz emanację silnej uzdrawiającej energii w kolorze niebiesko-seledynowym. Na swoją uwagę, że ten zakonnik z pewnością był świętym człowiekiem, Maria odzyskała, że to miejsce było już miejscem mocy, zanim jeszcze powstała cerkiew.

W niedzielę przyjechali w kilka osób i ujrzała zgłuszcza świątyni. Z początku było trochę ludzi, potem wszyscy odeszli i zostali sami. Po prostu stali i tak zwyczajnie modlili się. W pewnej chwili Maria

usłyszała wewnątrz siebie słowa : w każdej świątyni, w której ja jestem, powinna przejawiać się miłość i braterstwo, jeśli tego nie będzie, jeszcze raz spał. Jej znajoma natomiast ujrzała Jezusa, Mariję w białym płaszczu i Archanioła Rafała.

Kiedy tak stali, podszedł do nich mężczyzna. Przedstawił się: jestem Andrzej z Torunia, często tu przyjeżdżalem, to miejsce jest mi szczególnie bliskie, a wy jesteście tymi, którzy mają zbierać pieniądze na odbudowę cerkwi. Wyciągnął z kieszeni pieniądze, wręczył im i odszedł.

Z tą właśnie historią Maria pojechała do Warszawy, gdzie 14-15 października 2006 r. odbywał się IV zjazd ratowników ziemi (tak określają siebie sympatycy fundacji „Świadomość Ziemi”). Zanim rozpoczęła swoje wystąpienie, podeszła do Madzi z Białegostoku, wręczyła jej świeczkę z Komańczy i poprosiła: powiedz, co odczuwasz? nie mówiąc przy tym, co to jest, ani skąd. Madzia odpowiedziała, że czuje energię Boga Stwórcy, energię Źródła. Dobrze więc - izekla Maria - ty powiesz to, co czujesz, a ja opowiem całą historię.

Wyszły na środek i gdy Maria zaczęła opowiadać, energia Źródła zstąpiła na wszystkich uczestników zjazdu, a było ich prawie stu. Każda z tych osób na swój sposób odbierała oddziaływanie tej energii, potem wymieniano się wrażeniami. Trwało to godzinę i dopiero później Maria mogła kontynuować swoją opowieść. Na koniec zebrano pieniądze na odbudowę cerkwi.

Pieniądze te Maria przekazała prawosławnemu księdzu dziekanowi w Morochowie. Ksiądz przyjął Marię i jej męża bardzo życzliwie i wspólnie snuli plany odnośnie koncertów muzyki cerkiewnej w Krośnie, z których dochód miał być przeznaczony na odbudowę cerkwi. W rozmowie mąż Marii wspominał, że przyniesione pieniądze pochodzą od ludzi związanych z ARIMĄ (ARIMA to rosyjski odpowiednik fundacji „Świadomość Ziemi”, jako że w Rosji zrodził się ten ruch i nazwa ta często też używana jest w Polsce).

Gdy doszło do następnego spotkania, gdzie miały być omawiane szczegóły co do koncertów, ksiądz przyjął ich bardzo chłodno i cały czas mówił o sektach oraz o zagrożeniu, jakie od nich płynie. Na tym więc ich wzajemna współpraca zakończyła się, jak również dalsze zbieranie pieniędzy.

Jak już wyżej wspomniałem, ja także byłem w Komańczy we wrześniu 2006 r.

W środę 13-tego września przed południem zrobiliśmy sobie małą wycieczkę samochodową po okolicy, zabraliśmy ze sobą mamę. Zaczęliśmy od starej cerkwi i cmentarza, zrobiłem pamiątkowe zdjęcie. Pojechalismy do Czystohorbu, Dolzycy, potem do Radoszyc, na granicę ze Słowacją i do źródła z uzdrowiającą wodą. Po drodze mama stwierdziła, że wszystko wygląda zupełnie inaczej w porównaniu do widoków z czasów jej młodości. Gdzie kiedyś były pola uprawne tam obecnie rośnie wielki las.

Wieczorem przed 19⁰⁰ przybiegł sąsiad z prośbą, czy mogę go zawieźć samochodem, bo stara cerkiew się pali. Rzeczywiście, na tle wieczornego nieba zza góry wyłaniał się słup czarnego dymu.

Na miejscu strażacy rozwijali węze, podjeżdżały kolejne samochody strażackie, a na drodze asfaltowej u podnóża wzniesienia stała wielka tłusza ludzi i obserwowała agonię cerkwi. Płonęła już cała bryła. Strażacy starali się nie dopuścić do zajęcia się ogniem, stojącej od strony zachodniej, dzwonnicy, co zresztą im się udało - ocalała.

Komentarze wśród stojących były podobne. Oto na naszych oczach ginie historia tej ziemi, obiekt, który był nicią łączącą czasy zamierzchłe i nas żyjących w XXI wieku.

Sądzę, że miejsce pod cerkiew wyznaczone zostało wraz z nadaniem lokacji Komańczy w 1512 r., bo pierwsza wzmianka o istniejącej cerkwi pochodzi już z 1565 r. Z całą pewnością było ono nieprzypadkowe i zostało starannie wybrane, co uwidoczni się jeszcze w dalszej części tego tekstu.

W 1800 r. ta pierwsza cerkiew spłonęła, jednak ocalała z tego pożaru drewno ze ścian wokół ołtarza połączono z nowymi belkami. Miejsca łączenia odsłonięto podczas prowadzenia prac konserwatorskich w połowie lat 1980-tych, kiedy odnawiano całą wewnętrzną polichromię. Tak więc, materiał budowlany wokół ołtarza liczył sobie prawie 500 lat.

Miejsca, obiekty, budowle posiadają swoją pamięć, są świadkami dziejących w nich i wokół nich wydarzeń. Ta pamięć koduje się w nich, a dostęp do niej mają ludzie o bardzo wyczulonym i szerszym niż normalnie postrzeganiu.

Zatem cerkiew była milczącym świadkiem tego wszystkiego, co działo się na przestrzeni pięciu wieków, o czym wiemy i także tego, co uległo zapomnieniu i niestety nie zostało przez historię odnotowane: czasów Królestwa Polskiego; napadów tatarskich, węgierskich, rozbojów beskidników - zbrojów karpaccich; czasów Cesarstwa Austro-Węgierskiego; napływu osadników z południowego skłonu Karpat; budowy kolei żelaznej linii Wiedeń - Lwów; bitew z okresu I wojny światowej, epidemii tyfusu i zbiorowych mogił żołnierzy walczących ze sobą po obu stronach, a często należących do tego samego narodu; krystalizowania się wśród mieszkańców tożsamości narodowej; powstania Republiki Komańeckiej i próby jej przyłączenia do krótko istniejącej Ukrainy; emigracji zarobkowej za Wielką Wodę; okresu II wojny światowej i całego nieszczęścia, które ona przyniosła; czystek etnicznych i przymusowych wysiedleń ludności, jakie pozostała tu po wojnie; osiedlania się nowych ludzi, jak również powrotu nielicznej części spośród dawnych mieszkańców oraz emigracji młodego pokolenia na przestrzeni ostatnich lat.

Była też świadkiem codziennego życia wielu pokoleń moich przodków, którzy rodzili się, wychowywali swoje dzieci i umierali, starając się jednocześnie przetrwać w ostrym, niesprzyjającym górskim klimacie (mroźne, śnieżne zimy; miasenne roztopy powodujące nieprzejezdność dróg w dolinach; rzeki były kiedyś znacznie większe i bardziej niebezpieczne; nieurodzajna gleba; częste epidemie śmiertelnych chorób).

Pomimo wszystkich tych zarówno dziejowych, jak i prozaicznych

przeciwności, mieszkańcy rozwijali lokalną tradycję, kulturę, zwyczaje i swoją wrażliwość na piękno, co uwiarygodniało się u samego zarania w architekturze cerkwi. Nie zachował się co prawda żaden obraz ani opis poprzedniej cerkwi, ale można domniemywać, że była ona nie mniej piękna, sądząc po wyglądzie tej ostatniej.

Fakt, że te tereny w okresie Królestwa Polskiego nie były własnością prywatną, lecz królewską, był sprawą niebagatelną, rzutował bowiem bardzo na cechy charakteru i postawę ludności. Mieszkańcy byli z tego dumni, w ich własnych oczach bardzo to ich nobilitowało, posiadali poczucie swojej wartości. W wyniku zawieruchy dziejowej pamięć o tym nie przetrwała do obecnego pokolenia, ale cechy te u nielicznych można jeszcze zauważyć.

Gdy tak staliśmy, patrząc na przemieszczającą historię, znajoma, której rodzice wraz z nią i rodzeństwem powrócili z wygnania, kiedy ona już dorastała, stwierdziła, że nie przekazali jej nic na temat szczegółów historii tej ziemi i cerkwi, a ona teraz nie jest w stanie z kolei nic przekazać swoim dzieciom, ani wnukom, które pojawią się wkrótce. Tymczasem tu na naszych oczach ginie ostatni materialny ślad przeszłości i one nawet tego nie będą już znały.

Smutne to, że ludzie tak bardzo skupiają się na troskach życia codziennego, nie znajdując przy tym czasu, aby przekazać młodszymi swoją wiedzę o historii własnych przodków. Szkoda, że taka refleksja przychodzi, kiedy jest już za późno.

Następnego dnia ok. godz. 10⁰⁰ w minorowych nastrojach opuściliśmy Komańczę. Po drodze wstąpiliśmy na miejsce pogrzeziska, gdzie strażacy ciągle polewali wodą zarzewia ognia. Wokół kamiennego ogrodzenia stali ludzie smutnie patrząc na resztki belek i na płyty połakowanej blachy, którą nakryty był dach. Akurat przyjechał prawosławny biskup Adam z Sanoka, któremu miejscowy cerkiewnik (odpowiednik kościelnego) zdał relację z przebiegu pożaru, pokazując ułożone na kamiennym murku ocalałe szaty liturgiczne. Ogień ich nie strawił, były niepalne. Zrobiłem kilka zdjęć i wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Film w aparacie fotograficznym nie był jeszcze skończony, upłynęło więc jeszcze trochę czasu zanim oddałem go do wywołania. W międzyczasie skontaktowałem się z Marią, zapoznając się z przeżyciami związanymi z cerkwią. Jakież było moje zdumienie, gdy po wywołaniu filmu okazało się, że zdjęcia, wykonane w dzień po pożarze, toną w seledynowej i złotej poświacie. Nie może być mowy o jakimś technicznym błędzie w sztuce fotografowania. Wczesniejsze i późniejsze kadry są doskonałej jakości, poza tymi z czwartkowego przedpołudnia. Pogoda w tym dniu była znakomita, jednak wszelkie szczegóły na zdjęciach są przeniknięte i spowite tymi dwoma kolorami.

Od razu nasunęły mi się słowa z opowieści Marii o tym, że miejsce to emanuje niebiesko-seledynową energią. Jest to kolor światła Marii i

Archanioła Rafała, kolor energii uzdrawiania. Złota poświęta kojarzy się ze złotą płytą nagrobną pochowanego zakonnika z widzenia znajomej Marii. Wygląda więc na to, że wizje znalazły odzwierciedlenie na moich fotografiach. Przyznam szczerze, że powaliło mnie to na kolana.

Ustaliliśmy z Marią, że w następnym roku koniecznie musimy się spotkać w Komańczy.

Do spotkania doszło 19 sierpnia 2007 r. Maria przyjechała z mężem, córką oraz z Madzią, z Białegostoku. Gdy tak staliśmy na cerkwiśku, medytując na grobie zakonnika, Madzia odczuła, że tutaj znajdują się też groby lemuryjskie tzn. groby ludzi z okresu cywilizacji Lemurii, która istniała na Ziemi jeszcze przed cywilizacją Atlantydy, kilkadziesiąt, a może nawet kilkaset tysięcy lat temu. Byli to ludzie o wysokim stopniu rozwoju duchowego, dlatego miejsce ich pochówku promieniuje silną energią.

Do tego miejsca przybywali różni ludzie, żeby zaczerpnąć dla siebie tej wzmacniającej energii. Jednocześnie część z nich odchodziła nie dziękując za ten dar, ani nie wyrażając wdzięczności. Zaburza się wówczas energetyka miejsca, zawsze należy być wdzięcznym za otrzymaną łaskę.

Madzia stwierdziła też, że miejsce, na którym stoi cerkiew, związane jest w jakiś sposób z sąsiednią górą Mogilą, wznoszącą się po drugiej stronie rzeki Barbarki, naprzeciwko wzgórza z cerkwią. Niestety, nie umiałem nic na ten temat powiedzieć. Nie znam żadnego przekazu, który łączyłby ze sobą te dwa miejsca. Nawiązałem jednak do pewnej historii, jaką zupełnie przypadkowo usłyszałem z ust dawnego bojownika UPA, który jako młody człowiek przechodził szkolenie niedopodół góry Chrystcza.

Idąc oddziałem przez wioskę, ujrzeli siedzącą na progu chaty staruszkę, z którą wdali się w rozmowę. Na pytanie o pochodzenie nazwy góry babcia odpowiedziała, że na tej górze dawno temu stał wielki kyz (po ukraińsku xpecm - chrest) na pamiątkę jeszcze wcześniejszych wydarzeń. Otóż według jej słów z góra 1000 lat temu, kiedy na ziemiach tych byli jeszcze nieliczni chrześcijanie, gromadzili się oni na szczytach wysokich gór, aby z dala od pozostałej ludności przyjmować chrzest (xпeщeння - chreszczennia) i wielbić Boga.

Przyszło mi zatem na myśl skojarzenie, że na szczycie Mogily, z racji jej okazałego kształtu oraz płaskiego wierzchołka, również mogły odbywać się ceremonie religijne, pomimo iż do naszych czasów nie przetrwały na ten temat żadne wieści.

Na te moje słowa słuchająca cały czas w skupieniu i z zamkniętymi oczyma Madzia aż podskoczyła i odparła, że tak właśnie było. Cóż, być może kiedyś zostaną ujawnione prawdziwe dzieje przez ludzi sensytywnych, takich jak Madzia, potrafiących odcodować informacje zapisane w przestrzeni.

Wracając jednak do czasów współczesnych Komańcza była ewenementem wśród społeczności ukraińskiej w Polsce, ponieważ mimo powojennych zawirowań, Msze św. odbywały się tutaj nieprzerwanie. W Komańczy pozwolono zostać ok. 20 miejscowym rodzinom, z których

mezczyźni zatrudnieni byli na kolej. Pozostał także proboszcz ksiądz Kaleniuk oraz ksiądz Złoczowski (wcześniej duszpasterzował w sąsiednim Jaworniku), który cudem uniknął eksterminacji ze strony oddziału Ludowego Wojska Polskiego likwidującego pozostałych jeszcze księży grekokatolickich.

Tuż po wojnie władze Polski Ludowej zdelegalizowały Cerkiew Grekokatolicką, a jej majątek upaństwowiono. Zresztą, podobnie stało się w pozostałych krajach komunistycznych. Komańczy, o dziwo, to prawo jakby nie dotyczyło. Dopiero po śmierci ks. Kaleniuka w 1961 r. urzędnicy gminni zwrócili się do ks. Złoczowskiego o klucze, zamknęli cerkiew, a dziwi opieczętowali.

Wówczas ks. Złoczowski powiedział wiernym: idziemy do kościoła. Miejscowy rzymskokatolicki proboszcz ks. Potębski pozwolił na niedzielne Msze św. w obrządku grekokatolickim w swoim kościele. Jednak wśród społeczności powstał ferment, nie wszyscy chcieli chodzić do kościoła, nadal przecież stała ich cerkiew, poszukiwali więc sposobu, aby do niej móc wrócić. Do determinacji działań przyczyniła się również wieść, że cerkiew może zostać zniszczona albo też rozebrana i przeniesiona do skansenu w Sanoku. Trzeba było zatem temu zapobiec. Dla tamtego pokolenia cerkiew była niemalże częścią ich duszy, świętością i jej utrata była rozumiana na równi z utratą własnej tożsamości.

Była tylko jedna możliwość, aby odzyskać cerkiew - przejść na prawosławie, które cały czas w Polsce działało legalnie. Znalazła się wymagana prawem ilość rodzin i w ten sposób nastąpił rozłam wśród grekokatolików, niejednokrotnie nawet wewnątrz rodzin.

Od tego czasu powstały dwa obozy trzymające się osobno. Jedni na drugich zaczęli patrzeć wilkiem, nieraz dochodziło do słownych utarczek i wzajemnych złośliwości. Podejmowane były, co prawda, przez niektórych próby dojścia do zgody, ale kończyły się niepowodzeniem.

Nieżyjący już od dawna jeden z przedstawicieli grekokatolików wysunął kiedyś w rozmowie z prawosławnym działaczem sprawę wspólnych nabożeństw oraz wzajemnego pojednania. W odpowiedzi usłyszał, że nigdy tak się nie stanie. Grekokatolicy mogą ewentualnie odprawić Msze św., ale nie w cerkwi, lecz pod dzwonnica. I po latach doszło do tego w nieco zmienionej formie. To sami prawosławni byli zmuszeni po spaleniu się cerkwi do odprawiania nabożeństw pod dzwonnica. Ludzie przypomnieli sobie po czasie tamto dawne zejście.

Pisząc o tym nie daję ujścia swojej, źle skrywanej, satysfakcji, po prostu pragnę zwrócić uwagę na to, że wypowiedziane słowo często powraca do nas w formie fizycznego spełnienia.

Chcę oddać prawosławnym należne podkreślając, że to dzięki ich staraniom cerkiew uniknęła dewastacji, ocalała od niechybnej ruiny. To oni dbali o jej stan, jednak w stosownym czasie nie podjęli wyciągniętych do zgody ręki.

Nie sądzę, aby dzisiaj było możliwe zlanie się wszystkich w jedną, wspólną, religijną, czy to prawosławną, czy też grekokatolicką.

Pewne sprawy po kilkudziesięciu latach zeszły za daleko i tak naprawdę to nie o to chodzi. Niech każdy pozostanie takim, jakim jest. Jednak przy dobrej woli każdej ze stron trzeba budować wzajemne zaufanie i szacunek.

Potrzebne jest autentyczne pojednanie, a więc u wszystkich powinna się zrodzić wspólna troska o odbudowę starej cerkwi oraz o dalszy jej los. Przecież wszyscy nasi przodkowie, zarówno jednych jak i drugich, modlili się w tej cerkwi. Stąd też w równym stopniu wszyscy powinni czuć się jej spadkobiercami i stanąć ponad podziałem, który nastąpił z przyczyn zewnętrznych. Przecież ten podział wcale nie musi być przyczyną dalszych niesnasek, ale wspólną wartością i ubogaceniem.

Czy nie może być tak, aby w przyszłości czas nabożeństw w obydwu cerkwiach (grekokatolickiej, jak i tej już odbudowanej, prawosławnej) ustalić tak, aby każdy, kto zechce z obu wspólnot, mógł w nich uczestniczyć bez uszczerbku dla swojej konfesji? Jak dotąd dziwnym trafem odbywały się przeważnie o podobnej porze. Z tej przyczyny tylko kilka razy w życiu byłem uczestnikiem Mszy św. w starej cerkwi, nad czym do dzisiaj boleję. Jednakowe pora nabożeństw z pewnością nie służy wzajemnemu zbliżeniu.

A czy nie nazbyt fantastycznie zabrzmiałaby idea wspólnych nabożeństw w cerkwi, czy też święcenia wody w święto Jordonu, albo chociażby wspólnych modlitw na cmentarzu? Księża również musieliby pracować w kierunku zdrowych wzajemnych relacji i stworzenia odpowiedniej atmosfery. Trzeba ich do tego zachęcać, a nawet tego od nich wymagać.

Historia, jaką opisałem w pierwszej części tekstu, świadczy o wyjątkowości usytuowania starej cerkwi. Miejsce to poświęcone jest świętością pochowanych tutaj ludzi. Dzięki temu może się przejawiać łaska i moc Boga. Aby to nastąpiło potrzebna jest jeszcze świadomość tego faktu wśród mieszkańców Komańczy. Nie bez znaczenia jest też posiadanie wewnętrznego światła, o którym była mowa w opisie pierwszej wizji cerkwi.

Jakże wielkie dary i łaski Boga mogliby otrzymać komańczanie i wszyscy odwiedzający cerkiew mając świadomość szczególnego znaczenia tego miejsca. Przecież każdy potrzebuje zdrowia, a tutaj znajduje się potężne źródło uzdrawiającej mocy, które należy uwolnić. Niestety, jak dotąd, nie służą temu wzajemne właśnie i ciągle podsycanie napięcia.

Uważam, że wszystkim członkom społeczności komańskiej potrzebna jest przede wszystkim przebudowa własnego wnętrza, większe zwrócenie uwagi na wspólne dobro, a nie zamykanie się tylko w swoim gronie. Odbudowa cerkwi będzie wtedy jak najbardziej zasadna i przysłuży się wzajemnym pozytywnym relacjom, a być może stanie się nawet przykładem dla innych, którzy potrzebują takich wzorców. W przeciwnym wypadku będzie to kontynuacja dotychczasowej błędnej drogi, którą niechylnie znowu przerwie interwencja Boga.

Dzień 13 września odpowiada dacie 31 sierpnia zgodnie z kalendarzem juliańskim (tzw. stary styl), który jest kalendarzem liturgicznym obowiązującym w komanieckich cerkwiach. Jednocześnie jest to ostatni dzień roku cerkiewnego. Następny dzień, tzn. 14 września, to 1 września według starego stylu i zarazem pierwszy dzień nowego roku cerkiewnego. A zatem cerkiew spłonęła dosłownie w ostatnich godzinach kończącego się roku cerkiewnego. Jest to bardzo znamienny fakt. Zamknął się w ten sposób pewien okres w dziejach tego miejsca. Jak będzie wyglądał kolejny etap historii zależy od ludzi, którzy będą ją tworzyć.

Władysław Gulycz 2008